

S. POSNER.

omy Ludowe

W BELGJI.



Nakładem
Książnicy
Ludowej

S. Posner.

DOMY LUDOWE w Belgii.

KSIAŻNICA LUDOWA. — WILNO. 1900.

SKŁADY GŁÓWNE:

Warszawa: Księgarnia G. Centnerszvera i S-ki.

Petersburg: Księgarnia Polska.

CENA 6 kop.



32-93)

Pos.

Dom.

Br. 371

Brzo

Upadek Komuny paryskiej spowodował we wszystkich krajach Zachodu europejskiego długotrwałe przesilenie w ruchu robotniczym. Międzynarodówka została rozbita; rozbita—była bezsilna, dogorywała; najlepsi gnili po więzieniach, szli do ciężkich robót w Kaledonji francuskiej. Ci, którzy pozostali, gnuśnieli, nie mając dość siły, dość inicjatywy, aby potworzyć organizacje. W tym czasie (w r. 1874) spotkało się w Gandawie, we Flandrji belgijskiej dwu przyjaciół: Van Beveren, wykształcony na nauce socjalistycznej niemieckiej i Pol-Dewitte, praktyk, który przez dłuższy czas bawił w Ameryce i podziwiał praktyczny gienjusz Anglo-Sasów amerykańskich. Zbliżyli się, a że nie chcieli trzymać prawdy swojej pod korcem, tedy przystąpili zaraz do roboty. Zgrupowali koło siebie ze 30 robotników, między którymi znajdował się młody pracownik drukarski Anseele — późniejsza chwała socjalizmu belgijskiego—i zastanawiali się nad tym, co czynić należy. „Czy zająć się propagandą?“ Robotnicy, zniecierpliwieni i zdemoralizowani pogromem Komuny, nie przychodzili na zgromadzenia ludowe i z nieprzyzwoitym prostonu sceptycyzmem przyjmowali zapewnienia i nauki agitatorów. „Założyć dziennik?“ Nie było na to pieniędzy. Towarzysze byli w rozpacz. Trzeba było porzucić tradycyjne

metody propagandy. Pol-Dewitte był zdania, że należy na czas jakiś porzucić teorie i stworzyć organizacje na podobieństwo tych, które widział w Ameryce, organizacje, któreby rodziły się z potrzeb naturalnych robotników: związki zawodowe i stowarzyszenia współdzielcze (kooperatywy). Żadne zniechęcenie i żadna demoralizacja nie potrafiła odstraszyć robotników od tych przyrodzonych im stowarzyszeń i zrzeszeń. A jeżeli związek czy kooperatywa rozwiną się dobrze i dobrze będą prowadzone, to i pieniądze na dzieńnik się znajdą i otucha wstąpi w robotników, a wtedy będzie można i o propagandzie właściwej pomyśleć. Pomysł wydawał się wtedy bardzo zdrożnym. W Niemczech zajmował się propagandą stowarzyszeń takich Szulce-Delicz (Schulze-Delitsch), wyśmiany przez Lasala, we Francji zajmował się propagandą takich związków Juljusz Simon, sentymentalny burżua, który należał do tych, co przyglądali się spokojni, jak kaci w mundurach gieneralskich topili Rewolucję we krwi komunarów paryskich. Marks zapatrywał się na związki kooperatystów z pewną niechęcią, trochę wzgardliwie: przy pomocy drobnych środków poprawy bytu robotniczego nie osiągnie się przecie rewolucji społecznej. Kooperatywy mogą raczej odciągnąć robotników z właściwej drogi bezlitosnej walki klasowej... Socjaliści spoglądali z pożałowaniem na niecierpliwych towarzyszków swoich, którzy zamiast myśleć o urzeczywistnieniu marzenia rewolucyjnego, tracili energję na gromadzenie cegiełek dobrobytu, które, według ich zdania, tylko opóźnić tryumf ostateczny mogą.

Trzech przyjaciół postanowiło działać bez względu na to, co mówili towarzysze partyjni, i w liczbie 30 założyć „piekarnię socjalistyczną“. Ludzie „praktyczni“ ostrzegali ich przed ryzykownym przedsięwzięciem. „Nie macie pieniędzy“—mówiono im. „Jeżeli wasza piekarnia ma mieć po-

wodzenie, musi walczyć ze współzawodnikami piekarzami, musi sprzedawać po cenach konkurencyjnych. Zduszą was, zginiecie po tygodniu"... Tak ostrzegali ostrożni. Młodość nie ogląda się na rozsądek i z pierwszej składki, która wyniosła zaledwie siedmdziesiąt siedm franków siedmdziesiąt pięć centymów (to jest około 30 rubli!), założono piekarnię, którą nazwano „Vooruit“ (po flamandzku znaczy tyle co „Naprzód!"). Początkowo mieściła się w cudzym mieszkaniu, w szynku, utrzymywanym przez socjalistę Verbauwena. Anseele co wieczór obchodził z przyjaciółmi szynki i kawiarnie, w których schodzili się robotnicy, i namawiali ich, by kupowali chleb w kooperatywie robotniczej: „kupujcie chleb w „Vooruit“, jest biały i niedrogi, pieką go towarzysze, a za pieniądze zarobione będzie można bronić sprawy robotniczej!“ „Bułczarze“, którzy roznosili chleb po mieście, również towarzysze, prowadzili propagandę na swoją rękę, biegając z chlebem po mieście i—nie było wieczora, aby dwutrzech klientów nie zgłosiło się z zapisem na członków. Najtrudniej było ze zgromadzeniem pierwszej sekcji członków. Potym szło już łatwiej. Zasady współdzielcze rozszerzono z piekarni na inne dziedziny potrzeb robotniczych: zaczęto według tego samego systemu sprzedawać robotnikom obuwie, odzież, lekarstwa. Oparta na zasadzie handlowej sprzedaż dawała doskonałe zyski i rozwijała się z roku na rok, przerastając wszelkie najdalej idące marzenia założycieli. W roku 1892, po dziesięciu latach istnienia, należało do kooperatywy pięć tysięcy rodzin robotniczych, obrót roczny wynosił—około sześciuset tysięcy rubli, a *czysty dochód sto czterdzieści tysięcy rubli*.

Oto trochę cyfr statystycznych, które lepiej niż zapewnienia najwymowniejsze przekonają, jak wspaniałym był i jest rozwój kooperatywy gandawskiej.

Rok	Ilość członków	Obroty piekarni w rublach	Ogólny obrót Vooruit'u w rublach
1881	400	28,288	28,788
1885	1750	91,024	96,192
1890	3814	239,764	544,788
1895	5340	322,396	790,964
1900	6921	435,644	989,020

Chleba wypiekano *tygodniowo*:

W roku 1887 około 6,000 funtów

„ 1888	„ 64,000	„
„ 1891	„ 138,000	„
„ 1895	„ 186,000	„
„ 1900	„ 200,000	„

Ilość czeladników piekarskich, zajętych w piekarni wynosi 43; ilość pomocników, rozwożących chleb po mieście, wynosi—14. Piekarze płatni są od godziny pracy i otrzymują za godzinę 22 kop. W piekarniach mieszczańskich płaca wynosi 15½ kop. za godzinę! Po dojściu do 65 lat robotnicy otrzymują emeryturę w ilości 365 franków rocznie.

Zobaczmy jak się ten dochód wytwarza i co z niego wyrasta.

Chcemy zostać członkiem kooperatywy w Gandawie. Przychodzimy, zapisujemy nazwisko. Wydają nam książeczkę, w której czytamy: „Vooruit“ — jest to kooperatywa socjalistyczna, członkowie tej kooperatywy stają się tym samym członkami belgijskiej partji robotniczej“... Chleb wcale nie jest tani. Kosztuje 30 centymów za kilogramm (funt

12 kop.). Tylko, że w tych 30 centymach jest 12 zysku, który z każdego funta bywa odpisywany na rachunek klienta i po trzech miesiącach bywa mu zwracany. Pomyślmy, ile funtów chleba spożywa rodzina robotnicza w ciągu trzech miesięcy i ile w ten sposób pięciokopiejówek (12 centymów—około 5 kop.) gromadzi się w stowarzyszeniu, aby potem w okrągłej sumie powrócić znowu do kieszeni robotniczej. Jest to innemi słowy skarbonka, gdzie robotnik gromadzi swoje oszczędności. Myliłby się jednak, ktoby przypuszczał, że „Vooruit“ zwraca robotnikowi oszczędności w gotówce. Wydaje mu tylko kwit, na który może kupić wszystko, co potrzebuje w gospodarstwie domowym. Na wszystkim co kupuje, ma znowu zyski, które są zapisywane na jego rachunek i które w ten sam sposób będą mu po kilku miesiącach wypłacone. Wytwarza się w ten sposób wielka maszyna o setkach kół, które zaopatrują we wszystkie potrzeby robotnika i nie wypuszczają go więcej z pomiędzy siebie. Robotnik zrasta się blisko z kooperatywą. Dumny jest z jej obrotów, z jej zysków, z jej potęgi handlowej, boć to przecież *jego* jest kooperatywa, *jego* zyskami obraca, przy pomocy *jego* oszczędności rozwija się. Zakłada kasę pomocy, dzieńnik, bibliotekę, kółko śpiewacze, gimnastyczne, muzyczne, urządza podróże dla członków po Francji, Szwajcarji, Niemczech. Możemy należeć do wszystkich, albo do tych, które nam przypadają do smaku. Powstaje tam szkoła kroju i szycia, gdzie uczyć się mogą nasze żony i córki. Organizują zabawy dla dzieci. Cała rodzina nasza znajduje w kooperatywie miejsce dla potrzeb swoich materialnych, moralnych, umysłowych. Tysiące rodzin robotniczych, zapisanych do ksiąg „Vooruit'u“, skupiają się, wiążą, cementowane jak gdyby tym, co im ich własna kooperatywa daje. A sama kooperatywa staje się czymś więcej, niż stowarzyszeniem

spółdzielczym, sklepem wiktuałów, odzieży i obuwia, staje się wielką fortecą, która nie tylko broni robotników, ale zajmuje stanowisko jak gdyby zaczepne wobec świata mieszczańskiego.

Instytucja spółdzielcza stwarza pełnię życia socjalistycznego. Owa drobna piekarenka umiała przywiązać członków swoich — 30 tysięcy istnień ludzkich — dziś już 50 tysięcy mężczyzn, kobiet, dzieci do partji robotniczej. Socjalizm daje im przeciw wszystko: chleb, mięso, lekarstwa—wszystko. Nie ma takiej rzeczy, którejby im nie dawał. Gdy robotnik je obiad, albo wdziewa ubranie, gdy się weseli albo smuci, gdy się rodzi albo umiera—nie jest sam; za nim, za każdym jego czynem stoi całość, olbrzymia masa robotnicza Gandawy.

Gandawa nie pozostała w odosobnieniu. Zajej przykładem poszły inne miasta belgijskie: Antwerpja, Bruksella, że wymienimy tylko największe. Tu ruch, zapoczątkowany w Gandawie, rozwijał się wolniej. Ludność tych miast zarówno jak i tych prowincji belgijskich, w których te miasta się znajdują, jest inna, niż Gandawy. W Gandawie mieszkają ludzie pochodzenia tego samego, co Niemcy-Flamandczycy: spokojni, pracowici, oszczędni, organizacyjni. W Brukselli i Antwerpji mieszkają Walloni-Francuzi: nerwowi, poddający się łatwo wzruszeniom, idący za pierwszym popeędem, wrażliwi, łatwo zapalający się i łatwo gasnący w swoich zapalach. W tej części Belgji uważano pierwotnie pomysły Anseelego za zdradę sztandaru robotniczego i rewolucyjnego. „Po co ta mrówcza praca? jaki cel tego handlu, który daje mierne zyski i każe czekać na rezultaty dziesiątki lat? Rewolucja tylko dać nam może wyzwolenie i dać nam odrazu wszystko. Głupi, kto trwoni entuzjazm rewolucyjny, energję robotniczą w przedsięwzięciach handlowych!..“ Nie dziwnego, że wobec takiego nastroju zapoczątkowania

kooperatywne nie mogły puścić zbyt prędko korzeni w glebie Belgji francuskiej. Ale puściły wreszcie. W roku 1886 wybuchły wielkie strajki w górniczych okolicach francuskiej Belgji. Strajki nieporządne, źle zorganizowane. Robotnicy tych okolic mało oświeceni, gwałtowni, nie zastanawiający się nad dniem jutrzejszym. Fabrykanci zorganizowali się, nie czynili ustępstw, postanowili złamać na długo odwagę robotniczą. Zasoby strajkujących wyczerpały się szybko. Głód, nędza pchały robotników na drogę gwałtów. Spalili fabrykę, włóczyli się gromadami po kraju, szerząc wszędzie strach i zniszczenie. Wtedy państwo kapitalistyczne złożyło jeden jeszcze dowód w czyim działa interesie: na widnokręgu palących się fabryk pokazały się bagnety. Czego głód nie zdziałał, czego nie zdziesiątkowała choroba — tego dokonały kule karabinowe. Cały zapal rewolucyjny wyczerpał się odrazu, entuzjazm prysł niby mgła. Z drzewa poznania spadł owoc w zgłodniałe i spragnione usta robotnicze, przetarli oczy, zaczęli rozumieć, co to znaczy *organizacja*. W tym momencie prowincje, zamieszkałe przez Wallonów, przyłączają się do ruchu kooperatywnego, a że ludność francuska jest zdolniejsza i obdarzona większym temperamentem, więc w krótkim czasie kooperatywy francuskie zrównały się pod względem doniosłości i rozmachu z kooperatywami flamandzkimi. Leodjum (Liège, czytaj — Ljeż), Charleroi (Szarlrua), Bruksella, Antwerpja — oto były nowe potężne etapy ruchu współdzielczego robotniczego, który nie tylko nie osłabił rozmachu socjalistycznego i politycznego, ale rozpęd ten uczynił silniejszym, spoistszym, a jednocześnie potężniejszym. Co więcej. Trzy czwarte organizacji *politycznych* proletariatu belgijskiego rozwinęło się z załączka kooperatywnego. Dzieściu socjalistów zaczyna piec chleb; potym bierze się do szycia bielizny, obuwia, odzieży; zaczyna sprzedawać cukier,

kawę, czekoladę, lekarstwa. Koło klientów rozszerza się, nasamprzód przybywają socjaliści, potem długie szeregi tych, którzy będąc robotnikami, nie są jeszcze socjalistami, a których do kooperatywy przyciągają ceny i dobroć towarów, prawa, zyski członków. Ci *zostają* w kooperatywie socjalistami.

I oto po jakimś czasie kooperatywa staje się związkiem politycznym. Partji belgijskiej przybywa nowe środowisko wpływów i siły. Tak się dzieje nie tylko w mieście, ale i na wsi. Wszędzie, gdzie jest proletarijat belgijski, jest i kooperatywa; gdzie jest kooperatywa — tam jest ruch polityczny, jest organizacja polityczna, partyjna. Szczęśliwi ludzie ci robotnicy belgijscy! Ze sklepiu kramarskiego potrafili zrobić świątynię idei; ladę handlarską zamienili na ołtarz. Nasamprzód siedzą kątem w cudzym szynku, potem — najmują sklepik, piekarnię. Sklep z pieczywem rozszerza się, przybywa jeden, dwa, trzy pokoje. Przybywa — sala zebrania i posiedzeń robotniczych. Potem przybywa stowarzyszenie pomocy wzajemnej, zarząd związku zawodowego, zarządy kilku związków zawodowych, komisja generalna związków zawodowych, zarząd związku partji robotniczej, biblioteka, szkoła. „Koszyk z pieczywem“ przeobrażał się wielokrotnie, rozszerzał się, rozrastał się, stał się złożonym, potężnym organizmem. Stał się mianowicie *Domem Ludowym*.

Dom Ludowy w Brukseli w każdym calu (z wyjątkiem żelaza) jest dziełem zorganizowanych robotników. Związek kamieniarzy przygotował kamień; związek mularzy z kamienia dom zbudował; związkowi cieśle, stolarze, malarze, szklarze, ślusarze — każdy w swoim zakresie zbudowali i wykończyli swoje. Nie tylko sprzedaje, to jest *pośredniczy* pomiędzy wytwórcą a spożywcą, sam chce *wytwarzać*. Chce na miejsce domniemanie „wytwarzającego“ kapitału osadzić

rzeczywiście wytwarzających „robotników“. Posiada tedy własne warsztaty szewckie i metalurgiczne; szyje sposobem fabrycznym ubrania, fabrykuje cygara. Zakupuje wprost od wytwórców kartofle, jaja, jarzyny. Posiada na własność gospodarstwo wiejskie w Herfelingen, gdzie założył wzorową mleczarnię. Przystąpili do niej sąsiadujący z nią włościanie, właściciele drobnych gospodarstw wiejskich. Ta mleczarnia stanie się znowu załączkiem wielkiej organizacji spółdzielczej na wsi. Za tą mleczarnią pójda spółdzielcze młyny, fabryki, cały świat wytwórczości, dziś jeszcze opanowany przez kapitalizm, jutro zaś wyzwolony za sprawą dziesięciu palcy robotniczych, trochę rozumu i trochę poświęcenia!.. To jest być może jeszcze marzeniem. Ale jeżeli *Dom Ludowy* nie posiada jeszcze fabryki płótna, to przychodzi z pomocą związkowi tkaczy i skupuje jego tkaniny. Zastępuje wobec tkaczy organizacje kredytowe, wielkie banki akcyjne, z których korzystają wielcy procudenci tkanin płóciennych. Bez tej pomocy, bez tego kredytu związek tkaczy nie mógłby się ostać wobec groźnych i potężnych współzawodników kapitalistycznych. Mają za sobą pomoc „Domu Ludowego“ w Brukseli i w Gandawie, który nie tylko zakupuje wszystkie wyprodukowane wyroby, ale służy kredytem i pomaga zakupywać surowy materiał po cenach nie wyższych od tych, po jakich zakupują go największe fabryki bawełniane Belgji;—tkacze-robotnicy, zorganizowani w związek wytwórczy, mogą sobie drwić z potęgi kapitału. Nie boją się ani przesileń, ani strajków, ani bankructw. Mogą śmiało, wesołym okiem spoglądać w przyszłość. Praca w tych warunkach przestaje być męką, Kalwarią. Przestaje być źródłem nadużyć i bezprawia. Przestaje być przymusem. Kto czuje powołanie do handlu—idzie do kooperatywy; kto pragnie pracować fizycznie—znajdzie zajęcie w związku tkaczy, w fabrykach odzieży, obu-

wia, cygar, chleba. Nie sądźmy, aby ludzi, którzy zajęcia takiego szukają, a znajdują, było niewiele. W roku 1889 „Dom Ludowy“ w Brukselli wypiekał dla 2,500 rodzin robotniczych *dwa i pół miliona funtów chleba*; w roku 1896—klientela urosła do *15 tysięcy rodzin* (około 100 tysięcy osób!), dla tych piętnastu tysięcy rodzin trzeba było upiec w ciągu roku około *15 milionów funtów chleba!* Tyle w zakresie produkcji materialnej. Kto wreszcie czuje powołanie do zawodu i pracy umysłowej, znajduje zajęcie w organizacji partji politycznej: agituje, administruje, pisze. Produkcja literacka partji robotniczej belgijskiej w dwu językach — francuskim i flamandzkim (holenderskim) jest olbrzymia. Dzienniki, tygodniki, miesięczniki: ogólne, polityczne, literackie i artystyczne, zawodowe kobiece, dla dzieci; broszury agitacyjne o najróżnorodniejszej treści rozchodzą się w setkach tysięcy egzemplarzy i tworzą całe biblioteki. W ten sposób fala świadomego życia robotniczego materialnego i duchowego opływa cały świat robotniczy, który oddzielając się pod każdym względem od świata kapitalistycznego, dokonywa dzieła *wyzwolenia* zasadniczo i ostatecznie.

Podajmy i dla „Domu Ludowego“ w Brukselli trochę cyfr statystycznych tak jakeśmy to uczynili wyżej dla „Voruit'u“ w Gandawie.

„Dom Ludowy“ liczy z górą 20,000 członków, to znaczy obsługuje tyleż tysięcy rodzin, co czyni, że klientela jego stała wynosi z górą 100 tysięcy osób. Kapitał pierwotny wynosił 240 rubli, dziś urósł do 50 tysięcy. Obrót roczny wynosił w pierwszym roku istnienia stowarzyszenia 3,000 rubli, obecnie wynosi około 2 milionów rubli. *Dochód czysty*—wynosił w pierwszym roku—320 rubli, *obecnie wynosi 200 tysięcy rubli*. Robotników i pracowników handlowych zatrudnia „Dom Ludowy—350. Wypiek chleba wynosił początkowo 1,120 fun-

tów tygodniowo; obecnie wynosi pół miliona funtów na tydzień, co wynosi 22 miliony funtów rocznie. Piekarnia miała w r. 1901 obrotu milion sto tysięcy rubli i dała czystego zysku 160 tysięcy rubli.

Skład odzieży (gotowej i na miarę), skład płócien, materji, aksamitów, podszewek, sukna bielizny, gorsetów, koszul, kołnierzy, krawatów, narzędzi, kapeluszy, parasoli, obuwia, zegarów, wyrobów skórzanych i t. d.—miały w tym samym roku obrotu około 200,000 rubli. Węgla sprzedano za sumę 160,000 rubli. Trzy rzeźnie sprzedały mięsa za sumę 100,000 rubli. Kawiarnie „Domu Ludowego“ miały obrotu 60,000 rubli. 12 lekarzy udziela pomocy członkom kooperatywy w razie potrzeby. Około nich działa dentysta, 8 akušerek, kilkoro masażyŝtów i masażyŝtek oraz 15 aptekarzy, rozrzuconych po całym mieście. Pomoc lekarska kosztuje 25,000 rubli rocznie, w tej liczbie 8,000 pokrywają honorarja płacone przez robotników. Kooperatywa dopłaca resztę z ogólnego źródła dochodu.

Te same źródła pozwoliły na założenie codziennego *organu partyjnego*, pozwalają udzielać pomocy materialnej instytucjom *oświatowym i artystycznym*, *Bibliotece ludowej*, *Klubowi muzycznemu* i t. d.

Chyba jasnym jest, że w organizacjach *Domów Ludowych* zaprowadzono obowiązkowy wypoczynek niedzielny (jak walczyć musi o zaprowadzenie tego dnia obowiązkowego wypoczynku prawodawca francuski z roku 1806!), czyni się starania w kierunku zaprowadzenia ośmiogodzinnego dnia roboczego, co nie wszędzie i nie we wszystkich działach roboty zostało dokonany; czynią się też starania w kierunku zaprowadzenia jednakowej płacy dla wszystkich bez wyjątku robotników. Płaca wyższych funkcjonarjuszów jest zawsze *mniejsza*, niż w odpowiednich urządzeniach kapitalistycznych

płaca robotników zawsze *wyższa* w odpowiednim stosunku. Wielki twórca kooperatywy gandawskiej otrzymuje 3,280 franków rocznie, co wynosi nie więcej nad 100 rubli miesięcznie.

Spółceństwo kapitalistyczne czyni co może, aby podminować organizacje współdzielcze robotnicze. W Brukselli założono specjalnie wielką piekarnię, która miała współzawodniczyć z piekarnią „Domu Ludowego“. Sprzedawała długi czas po cenie niżej kosztów produkcji. Robotnicy nie dali się wziąć na lep zysku. Ich żony, pomimo wrodzonej oszczędności, są na tyle uświadomione, że nie poszły sprzedawać pierworództwa swego — świadomości, solidarności klasy robotniczej za łyżkę soczewicy, za trochę cekinów, które można było oszczędzić na chlebie. Siła moralna klasy robotniczej zwyciężyła siłę kapitału zorganizowanego. W Gandawie byt znakomity kooperatywy był przez czas dłuższy zagrożony. Towarzysze, którzy są ludźmi, zaczęli się kłócić pomiędzy sobą. Pol Dewitte zaczął w prasie anarchistycznej zwalczać despotyzm Anseelego, który „traktuje swoich urzędników jak Belzebub“. Burżuazja, liberali, księża — zacierali ręce z radości. Czekali wszyscy zgromadzenia ogólnego członków, którzy mieli zdecydować, co począć: czy dać rację wrogom Anseelego, czy też ich potępić. Walne zgromadzenie wysłuchało jedną i drugą stronę. Jednogłośnie był wyrok potępienia dla oszczerców, którzy stawali się *nieświadomym narzędziem w rękach najoczywistszych wrogów klasy robotniczej*. Po paru dniach „Vooruit“ zaprowadził emerytury dla członków kooperatywy. Każdy członek „Vooruit'u“, o ile liczy 60 lat życia i od 20 lat jest członkiem kooperatywy — otrzymuje od stowarzyszenia 120 franków rocznie do końca życia. Kooperatywa złożyła dowód, że tarcia wewnętrzne pomiędzy władzami nie osłabiły bynajmniej jej istotnej siły, jej prężności, jej inicjatywy.

Gienjusz robotników belgijskich podpowiedział im rozwiązanie sporów wewnętrznych: z samowolą damy sobie radę, ale nazewnątrz będziemy *jedni*, cały świat kapitalistyczny i reakcja czyha tylko na rozbięcie jedności naszej. Bylibyśmy nietylko głupi, ale zdradzilibyśmy sprawę robotniczą, gdybyśmy wrogom naszym użyczyli jednej godziny wesela z powodu naszych rozłamów...

Kooperatywa pozostała i rozwija się dzięki indywidualności, sile inicjatywy, zdolnościom administracyjnym „despoty“ Anseelego. Olbrzymim przedsiębiorstwem nie mogą zarządzać ludzie słabi, niedołęzni, bez woli. Rozum kierownika stać musi i stoi na wodzy jego temperamentu i jego woli, powinien osłabiać ostrość jego rozkazów, bezwzględność jego instynktu. Anseele nie należy do ludzi pozbawionych rozumu i jego podwładni zarówno. Jakoś to było; możemy być spokojni o przyszłość kooperatywy gandawskiej.

Gdy w Brukselli robotnicy zaczęli wypiekać chleb wspólnymi siłami i kładli podwaliny przyszłej kooperatywy—piekarenka ich była w piwnicy. Posiadali w majątku paręset franków, dwa worki mąki, wózek i psa, który miał chleb rozwozić po mieście. Chodzili po szynkowniach, zabiegali, namawiali i nawracali. Najinteligientniejszy z nich, człowiek gienjalnych zdolności—mówca, dziennikarz, piekarz i buchalter—Jan Volders, był twórcą tej kooperatywy — wyczerpał prędko swoje siły i skończył życie. Głę dogorywał w domu zdrowia, nie przestawał pytać wciąż o *Dom Ludowy*. Czy będzie, *kiedy* będzie? „Ach, — odpowiadali towarzysze, — tyle chleba wypieka się codziennie—z tygodnia na tydzień więcej...”

W wyobraźni chorego Voldersa *Dom Ludowy* budował się z bochenków chleba... Rósł, rósł ciągle. Ale czuł, że nie doczeka tej chwili, gdy wielki placek nakryje niby dach

spiętrzone ściany bochenków i strucli. Pewnego dnia przywołał do łóża starego swego ojca, dawnego liberała i demokratę z 1848 roku i powiedział: „Ojcze, partja robotnicza— to sprawiedliwość. Przysięgnij, że po mojej śmierci będziesz zawsze trzymał za partją robotniczą! Umarł Volders 14-go maja 1896 r. Pięćdziesiąt tysięcy robotników szło za jego pogrzebem. Pochód spotkał po drodze oddział żołnierzy. Nie pozwolili żołnierzom iść dalej. Trzymali ich pięć godzin z karabinem u nogi. Świat, który odchodzi, salutował przed światem, który się naradza... Nad grobem pochyliło się sto sztandarów czerwonych. I od tego dnia, ilekroć wypadnie w Brukselli manifestacja robotnicza, w pierwszym rzędzie tłumu robotniczego kroczy zawsze siwy, jak gołąb, starzec: to ojciec Voldersa, żywy symbol tego, że duch Voldersa żyje. Ale w innym jeszcze symbolu duch ten żyje. Oto od roku 1899 stoi na jednej z ulic Brukselli wielki „Dom Ludowy“ kooperatystów brukselskich. Spełniło się nareszcie. Ucieleśniła się myśl paru socjalistów, którzy przed kilkunastu laty piekli chleb robotniczy w podziemiu, w wilgotnej piwnicy na przedmieściu wielkiego miasta. Nie musiał to być zwykły ogień pieca piekarskiego, na którym piekły się chleby Jana Voldersa. To był ogień, który żyje w piersiach bohaterów, do których jutro świat będzie należał. To był także ogień, zapalony u tej pochodni, którą według staro-greckiej legendy Prometeusz ukradł bogom Olimpu.



Biblioteka Gł. UPH Siedlce
nr inw.: BR - 371



br.371